

# Myślącego katolika rozważania o Kościele

KATARZYNA KWAŚNICKA

Członkiem Kościoła katolickiego jestem od 21 lat, czyli od momentu Chrztu Świętego, a za świadomego katolika uważam się od mniej więcej 5 lat. Przez ten krótki okres doszłam do prostego, lecz niekoniecznie cieszącego mnie wniosku, że w Kościele nie dzieje się najlepiej. Dlaczego? Już wyjaśniam. Jednak, zanim zostanie zlinczowana przez gorliwych katolików, pragnę powiedzieć, że pisząc o Kościele nie chodzi mi tylko o księży, biskupów czy zakonników. Mówię o całej Wspólnocie, a więc i jego świecką część mam na myśli.

Chcę zacząć od tego, że w Kościele dobrze było chyba tylko i wyłącznie wtedy, gdy był jeszcze kryjąca się po jaskiniach i piwnicach sekta przesładowana przez politeistyczne społeczeństwo Cesarstwa Rzymskiego. Dlaczego? Bo później role się odwróciły i to on zaczął przesładować pogan (Teodozjusz I i jego edykt o prawowierności), miały miejsce takie „incydenty” jak schizma wschodnia, Święta Inkwizycja, krucjaty, reformacja. Chrześcijanie, którzy wręcz brzydzili się przemocą, głosili Dobrą Nowinę słowem i dobrym uczynkiem, jakby zapomnieli o tym, że kiedyś to im groziło rozszarpanie przez lwy na arenie. A jak jest dzisiaj? Słyszając nawoływania niektórych księży z ambony i patrząc na „moherowe babcie” można stwierdzić, że niewiele się zmieniło (może już nie palimy ludzi na stosach, ale parę przykładów okładania ludzi krzyżem po głowie by się znalazło). Sam Jan Paweł II zdawał sobie sprawę z kryzysu w Kościele Katolickim i mówił o „wiośnie kościoła”, gdy kolejne pokolenia rozczarują się konsumpcjonizmem i materializmem. Tyle ogółów. Przejdę teraz do konkretnych przykładów, które mnie osobiście nurtują i sprawiły, że ukułam sobie takie, a nie inne zdanie.

Po pierwsze: in vitro, seks przedmałżeński i małżeństwa niesakramentalne (czyli o tym, jak kościół nie słucha, nie patrzy i nie rozumie).

Opinię o tym, że Kościół nie skupia się na swoich wiernych, wyrobiłam głównie na podstawie obserwacji moich znajomych, którzy nie dość, że są małżeństwem niesakramentalnym, to jeszcze nie mogą mieć dzieci. Mając takie osoby w swoim otoczeniu dostarczam pewne sprawy w innym świetle. Oboje znajomi są wierzący, on jednak ma za sobą nieudany związek (od ośmiu lat w Trybunale Kościelnym toczy się proces o stwierdzenie nieważności poprzedniego małżeństwa), przez co zawarcie sakramentu małżeństwa jest niemożliwe. Oczywiście, że skoro on jest związany przysięgą z jedną kobietą, a teraz żyje z drugą, zgodził się na wykluczenie z przyjmowania sakramentów, jednak czy już to nie jest wystarczającą karą? Księża z parafii nie muszą przy każdej wizycie duszpasterskiej określać jego żony jako konkubiny, kurtyzany, prostytutki. Przecież skoro przyjmują księdza po kołędzie znaczy, że chcą mieć do czynienia z Kościołem. Jest to dla nich ważne i gdyby tylko mogli wzięliby ślub kościelny. Są parafie (np. św. Mikołaja w Gdańsku) gdzie prowadzi się duszpasterstwo związków niesakramentalnych. Tam się tych ludzi nie piętnuje, a pomaga im radzić sobie

z ciężką sytuacją, jednak takich parafii jest jak na lekarstwo. Nad podejściem do in vitro również zaczęłam zastanawiać się w ich kontekście. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że poparcie zapłodnienia metodą in vitro może prowadzić do tego, że dziecko będzie traktowane jako towar, że Kościół staje w obronie godności człowieka od naturalnego poczęcia. Jednak nie powiedział mi tego żaden ksiądz. Z ambony słyszałam raczej słowa pogardy, jeśli nie wręcz potępienia, wobec osób, które ośmielają się popierać tę jakże bezbożną metodę. A czy księża choć przez chwilę zastanowili się, przez co przechodzą małżeństwa, które nie mogą mieć dzieci? Jak wielkim dramatem są kolejne poronienia? Podjęcie decyzji o adopcji może byłoby łatwiejsze, gdyby procedury z nią związane były nieco inne, nie ciągnęły się latami. Moi znajomi nie popierają metody in vitro, gdyż jest to niezgodne z nauką Kościoła – jednak przyznają, że w sytuacjach, gdy tracili kolejne dziecko, takie myśli się pojawiały. Ale nie mogli przyjść do księdza po wsparcie, bo byli od razu byli odsyłani z kwitkiem, czasem obrzucani różnymi epitetami. Łatwo jest czegoś zakazać, jednak nie chodzi o to, by tylko krzyżać z ambony na ludzi, ale by umieć do nich dotrzeć, być otwartym na ich problemy i nie potępiać ich za chwilę słabości i zwątpienia, które przecież mogą się pojawić. Jeszcze innym przykładem jest podejście do seksu przedmałżeńskiego. Według wielu księży seks ma służyć tylko i wyłącznie prokreacji, wśród świeckich pojawia się tymczasem podejście do seksu jako do źródła czystej przyjemności. W obu przypadkach gdzieś zagubiła się miłość, która przecież jest tak samo istotą małżeństwa, jak i współżycia. Kościół seks przedmałżeński tradycyjnie potępia, ale nie stara się pokazać zalet utrzymania czystości do ślubu. Dziewczyna podczas spowiedzi raczej usłyszy parę nieprzyjemnych słów pod swoim adresem, niż chociażby wskazanie, że wytrwanie w czystości uczy pokonywania własnego egoizmu, samozaparcia, cierpliwości, wierności zasadom, odpowiedzialności – a więc uczy prawdziwej miłości, która jest bardziej postawą, niż uczuciem. Być może, gdyby księża postawę z góry negującą zastąpili pokazywaniem pozytywnym, na przykład właśnie wspomnianej czystości przedmałżeńskiej, nastawienie wielu ludzi by się zmieniło. Sama znam zakonników, którzy twierdzą, że w Kościele przeważa mówienie o tym, czego nam nie wolno, co jest złe i grzeszne, niż o tym, co jest dobre i piękne. Może warto się nad tym głębiej zastanowić?

Po drugie: jestem wierząca, niepraktykująca (czyli jak robimy wiarę „wygodną”).

Ostatnio stwierdzenie „wierzący, niepraktykujący” staje się bardzo popularne. W wielkim skrócie ma znaczyć tyle: w Boga wierzę, ale do kościoła nie chodzę (no, może w święta się zdarzy), do spowiedzi też nie, przykazań nie przestrzegam, ale ślub kościelny wezmę i ogólnie staram się być dobrym człowiekiem. Każdy „wierzący i praktykujący” wie, że bycie dobrym człowiekiem to za mało. My mamy dążyć do tego, aby być świętymi (dą-

żyć – nie być! To różnica!) i właśnie po to mamy dekalog i dogmaty, aby pomagały nam do tej świętości dojść. W dzisiejszych czasach każdy chciałby iść na łatwiznę. Wybrać to, co mu się podoba, a co nie. Tak się nie da! Albo przyjmujemy, że wierzymy i trzymamy się nauki Kościoła (nawet jeśli nie do końca się z nią zgadzamy), albo nie i koniec. Dokonujemy wyboru, ale na płaszczyźnie „wierzę – nie wierzę”, a nie „do tego się stosuję – a do tego już nie”. Dlatego bycie głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem to trudne wyzwanie, które wymaga przede wszystkim zrozumienia, dlaczego i po co wierzymy. Sprawy z byciem „wierzącym, niepraktykującym” nie ułatwia bynajmniej postawa kleru, czy wszechobecne propagowanie (głównie przez media) konsumpcyjnego i czasem wręcz hedonistycznego stylu życia. Przyczyn takiej postawy wśród katolików może być wiele.

Po trzecie: w poszukiwaniu sensu wiary (czyli czego nie ma, a być powinno).

W wielu przypadkach na pytanie: „dlaczego wierzysz?” pada odpowiedź: „bo jestem ochrzczony”, lub: „bo tak mnie nauczono”. Nauka religii sprządza się do wyklepywania formułek modlitw, dogmatów, przykazań. Rzadko kiedy jest miejsce na dyskusję, wyrażanie własnych opinii, zadawanie pytań. Mamy wierzyć i koniec. A kto z nas nie doświadczył w okresie dojrzewania buntu, który objawiał się na wszystkich możliwych płaszczyznach? Wiele osób w tym momencie kończy swoją przygodę z Kościołem jako instytucją, a także ze Wspólnotą. Tymczasem jest to idealny moment, by sens swojej wiary odnaleźć, by odpowiedzieć sobie na pytanie: „dlaczego tak naprawdę wierzę”. Ale to wymagałoby zachodu (a ludzie w dzisiejszych czasach nastawieni są na przyjemności, a nie na wysiłek), a do tego kler zadania nie ułatwia przez stosowanie w okresie buntu przymusu jako najlepszego „środka zapobiegawczego”. A jako że w człowieku istnieje coś, co Edgar A. Poe określał „duchem przekory”, mamy tendencję do robienia innym (i sobie samym) na przekór. Jeśli będą nas do czegoś przymuszać, będziemy się opierać nawet dla samego opierania się. Wiele młodzieńczych buntów później się wycisza, jednak często głęboka zadrą wobec Kościoła, która powstaje w tym momencie, powoduje, że taki człowiek już do niego nie wraca, albo staje się „wierzącym, niepraktykującym”. Kościół (w szczególności część stojąca „po drugiej stronie ołtarza”) jakby bał się tego, że dyskusje na kontrowersyjne i trudne tematy mogłyby spowodować odejście od jego nauk, a tymczasem nie widzi, że dzieje się dokładnie na odwrót. Często ma się do czynienia z tzw. argumentem niebiańskim: *nie, bo nie*, a sposobem na przyciągnięcie młodzieży do Kościoła jest przymus. Przykład: diecezja bielsko-żywiecka i „rekolekcje powołaniowe”, czyli cotygodniowe spotkania, organizowane dla klas naturalnych. Nie chodził? Ksiądz może ci odmówić udzielenia ślubu kościelnego. Brak dobrego nauczania powoduje, że coraz więcej ludzi od Kościoła odchodzi. Co nam w takim wypadku pozo-

# Wszechświat

BOŻENA BRZESKA-KOMINEK

Mieszkam w Polsce, w Europie, na Ziemi, w galaktyce zwanej Mleczną Droga, która jest jedną z miliardów, a może nawet setek miliardów galaktyk zawieszonych na tej ogromnej arenie kosmosu. Nawet w tym momencie, w tej chwili, Kosmos pędzi przed siebie. Dokąd? Nie wiem oczywiście, i nikt tego nie wie. Co znajduje się tam, gdzie jeszcze Wszechświat nie dotarł? Nie? Próbuję sobie wyobrazić to nic i nie udaje mi się, bo czym jest nicość, jeżeli nie ma planet, gwiazd, nieba, a nawet powietrza.

Siedząc na ławce w letni wieczór spoglądam na rozgwieżdżone niebo, a te cudowne migające punkciki wydają się być tak niedaleko. Gdybym chciała na mapie Kosmosu zaznaczyć Ziemię, byłaby tylko mikroskopijna błękitna kropka. Nie ogarniam tego rozumem; nie potrafię sobie wyobrazić kosmicznych odległości liczonych w latach świetlnych. Przecież najbliższa galaktyka podobna do naszej jest oddalona od nas o dwa miliony lat świetlnych. I wiem, że nikt nigdy tam nie dotrze; i nie dowiemy się, czy tak olbrzymią przestrzeń ktoś jeszcze, oprócz tych kilku miliardów ludzi, zamieszkuje.

Wówczas myślę o Nim, o Bogu, ale nie jako o sędziwym staruszku siedzącym w chmurach na tronie. Właściwie nie ma twarzy, nie ma postaci. Jest światłem, energią, miłością. Autorem tego kosmicznego planu. On zna odpowiedź na wszystkie moje pytania – kim jestem, jaki jest sens mojego życia. Dla Niego chyba jestem kimś ważnym, pewnie chciał, żebym tu była, coś osiągnęła. Uczę się nie patrzeć wstecz, ani do przodu, bo efekt zawsze jest taki sam – mamuję terazniejszość. Liczy się tylko tu i teraz, wczoraj jest już przeszłością, a jutro może przecież nie być. Ludzie, których spotykam na swojej drodze, różne zdarzenia mające

miejsce w moim życiu – czy to tylko przypadek, że to ten właśnie człowiek, akurat ta sytuacja? Czy przyszedł na Ziemię z jakimś gotowym scenariuszem i odgrywam swoją rolę, czy też mając wolną wolę mogę o wszystkim decydować, bo życie to nicustanne wybory? Pytania te mnożą się, rodzą kolejne i można się zagubić.

Parę lat temu odchodził z tego świata mój ojciec. Właśnie odchodził, bo trwało to kilka miesięcy. Wiedziałam, że pozostało mu niewiele czasu, on też zdawał sobie z tego sprawę. Gdy był jeszcze zdrowy, potrafił rozmawiać o śmierci; jednak kiedy zachorował, w ogóle nie poruszaliśmy tego tematu. Codziennie po pracy pędziłam do hospicjum, żeby być przy nim. Porozmawiać, chociaż często sprowadzało się to tylko do monologu. Patrzyłam w jego smutne oczy i szukałam błysku, który miał kiedyś w oczach. Niestety, na próżno.

Ojciec opowiadał mi wcześniej, że kiedy ktoś z rodziny opuszczał ten świat, to on za każdym razem jakby to przeczuwał, pojawiały się jakieś znaki – pukanie lub dzwonek do drzwi, za którymi nikt nie stał. I chciałam się z nim umówić na jakiś znak stamtąd, żebym mogła mieć chociaż nadzieję, że kiedyś i ja wrócę do „domu”. Ale nie umówiliśmy się na żaden znak. Nie potrafiłam rozmawiać o śmierci w obliczu śmierci.

Któregoś wieczoru zadzwonił telefon, którego nie chce się odbierać. Stałam, płakałam, dotykając jeszcze ciepłej ręki. Pytałam w myślach, dokąd poszedłeś.

Potem przyszedł mi do głowy William Blake: „Żeby świat ujrzeć w ziarenku piasku/ I niebo w dzikiej roślinie./ Zamknij w swej dłoni nieskończoność./ A wieczność w jednej godzinie”.



staje? Szukanie sensu wiary na własną rękę, lub znalezienie sobie dobrego kierownika duchowego, który nam pomoże.

Moich obserwacji dotyczących problemów w Kościele jest jeszcze wiele, jednak nie będę ich tu wszystkich przytaczać. Ważne dla mnie było pokazanie, że „wina” nie leży tylko i wyłącznie po stronie Kościoła jako instytucji, ale i po stronie ludzi świeckich. Instytucja ma problemy, by do nas dotrzeć. My, świeccy, otoczeni ze wszystkich stron propagandą konsumpcyjnej rzeczywistości, wolimy patrzeć na Kościół jako na coś przestarzałego, nie-

wygodnego, zapominając o tym, że przecież sami jesteśmy jego częścią i ponosimy odpowiedzialność za to, jak on wygląda. Jako osoba, która określa siebie mianem katolika, mam pełną świadomość tego, że sama pewnie nieraz uległam takiemu sposobowi myślenia, ale jak pisze Fiodor Dostojewski „Anioł nigdy nie upada. Diabeł upada tak nisko, że nigdy się nie podniesie. Człowiek upada i powstaje.” Mam więc nadzieję, że gdy już zmysłowymy sobie, jakie popełniamy błędy, będziemy w stanie się z nich wydobyc.